



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartał. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartał. tal. pr. 1 sgr. 20.

## POGA WĘDKA.

Od czegoż lepiej i właściwiej możnaby zacząć dzisiejszą gawędę, jeżeli nie od faktu, który na ustach i w sercach wszystkich wielbicieli mistrza, Jana Matejki, budzi słowa czci i podziwu; jakże nie zacząć od tego, co jest najbardziej radosnem i najpiękniejszym w ostatnich dniach naszego publicznego żywota? Wielki malarz, genialny artysta, wspaniałomyślnym okazał się obywatelem: ostatnie dzieło swoje, a raczej ostatni w dotychczasowym rozkwyku wyraz sztuki polskiej, swój najpiękniejszy obraz, darował krajowi dla przyozdobienia starego zamku krakowskiego na Wawelu po jego odrestaurowaniu.

Ten wielki „Hołd pruski“, podziwiany z zachwytem i z jakąś nabożną czcią dla geniuszu jego twórcy, poszedł na ofiarę dla ogółu i ma, jako klejnot najdroższy w koronie, świecić w oprawie szczerbatych, omszonych murów wawelskiego zamku.

Czy jest drugie miejsce równie stosowne, równie właściwe i odpowiednie dla tego właśnie arcydzieła polskiego malarstwa i genialnej twórczości artysty-myśliciela?... Zdaje nam się, że nie; Wawel, to jedyna wyżyna, na której, jak na piedestale, takie pomnikowe z formy i ducha dzieło stanąć powinno. Rozumiał to mistrz, i dobrze obmyślił swój projekt, zanim go sejmowi galicyjskiemu zwierzył w akcie swej hojnej darowizny.

Izba poselska zagrzmiała oklaskiem przeciągłym i serdecznym; był to pierwszy oklask kraju z rąk jego najcelniejszych przedstawicieli. Owa-cye czynione we Lwowie szlachetnemu ofiarodawcy, obiady, recepcye, korowód z pochodniami, deputacye Rady Miejskiej, projekt stypendyalnej

fundacyi imienia mistrza, podniesiony w sejmie galicyjskim — wszystko to jest tylko słabem odbiciem uznania, jakie ostatnim swym czynem obywatelskiej szlachetności i ofiarności pozyskał twórca „Grunwaldu“, „Sejmu lubelskiego“, „Skarżyci“ i „Hołdu Pruskiego“.

Dar ten imponuje wielkością, bo jest dzisiaj wybitnym i odosobnionym faktem, nie tylko u nas, ale wobec całej cywilizowanej zagranicy.

Gdzie i kiedy który artysta, żyjący z pendzla i swego geniuszu zdobył się na taką darowiznę dla swego kraju, poświęcił prawie fortunę całą, bo dzieło ocenione na 60,000 guldenów, owoc kilkuletniej pracy, najcelniejszy ducha swego i talentu utwór? — gdzie i kiedy, pytamy śmiało, w społeczeństwie ubogiem znalazł się taki magnat, co, odczuwszy głęboko pragnienia całego ogółu, zrobił mu taką niespodziankę i taką radość, jak Matejko, darowując mu chlubę jego sztuki? Wszyscy marzyli o tem, aby ten wspaniały „Hołd“ nie poszedł hołdować obcym, w cudzej jakiej galerii, nie wysunął się z rąk swojskich, ale pozostał w kraju jako jego sława i osobliwość; próby złożenia summy na zakupno tego obrazu, szlachetne porywy ofiarności — zawiodły w czasie, który każe z każdym groszem liczyć się dziesięć razy. Matejko uwzględnił to, i jako prawy obywatel, miłujący syn swego kraju, pośpieszył ze swą ofiarą, spełniając sam jeden marzenia całego ogółu.

Byłoby niesprawiedliwością w oślepiającym blasku tego czynu stracić z oczu kogoś, co pierwszy dał przykład, jak malarz polski może pojmować obowiązki dla swego społeczeństwa; przypomnieć się godzi — dziś zwłaszcza, bez ujmy dla wielkiej zasługi i wspaniałego daru Matejki, że pierwszy Henryk Siemiradzki poniósł swe „Świeczniki“ na ofiarniczy ołtarz sztuki narodowej i wskazał drogę innym za sobą, nieprzypuszczając wówczas może nawet, iż starszy hetman naszego malarstwa tak pokrólewsku olśni swą hojnością wszystkich.

O pierwszym też twórcy Muzeum Sztuki w Sukiennicach przypomnieć się godzi przez samą wdzięczność i sprawiedliwość, której wielki i słuszny zapal ogółu często mimowolnie ujmę czyni. Jak od lat kilku głos opinii, krytyki i powszechnego uznania łączyły przywykły nazwiska Matejki i Siemiradzkiego, ilekroć odzywał się o najświetniejszych artystach, o prawdziwych arcykplanach sztuki naszej, tak dzisiaj znowuż na czele obywatelskiej starszyzny w tej dziedzinie postawić musi ich obu, jako przodowników.

„Hołd pruski“, wystawiony obecnie w Wiedniu, ściąga tłumy i budzi ogólny podziw; pomimo tematu, nie bardzo sympatycznego dla niemieckiej publiczności, obraz zaimponował cechą geniuszu mistrza, tak technika znakomita, jak i kompozycją. Krytyka zagłuszyła syki niechęci i zawiści, któremi małe dziennikarskie żmijki nad Dunajem powitały wiadomość o darowiznie.

Dar Matejki ma jeszcze inne znaczenie, które mistrz sam niejako określił w swoim przemówieniu na bankiecie wydanym dla niego przez posłów sejmowych; głosem drżącym od wzruszenia rzekł on: „Ofiaruję chętnie najlepszą — o ile mi sędzić wolno — pracę moją Wawelowi, aby zdobyć tem opiekę i uznanie dla najmłodszej latorośli na pniu naszej społeczności, dla malarstwa“.

Cesarz Franciszek Józef osobiście zwiedził obraz wystawiony w salach Towarzystwa Ogrodniczego w Wiedniu i wśród gorących pochwał wyraził ubolewanie, iż za tak wspaniały dar nie może osobiście podziękować Matejce; spodziewać się wszelako należy, iż podziękowanie to najlepiej się objawi w zrozumieniu intencji ofiarodawcy i w zapewnieniu ze strony rządu należytej opieki i poparcia sztuce krajowej.

Malarstwo nasze własną żywotnością, własnymi siłami dotychczas rozwijało się i męźniało; talenta wyrastały, jakby z Bożego posiewu; mało kto o nie dbał, mało kto im pomagał do rozkwitu, do oparcia się. Mecenasów sztuki mamy tak nie-



wielu, instytucyj poważniejszych, oprócz Akademii Krakowskiej, żadnych; stypendyów brak: a jednak, pomimo ciężkich warunków bytu, pomimo walki o chleb codzienny, drużyna artystyczna zwiększa się corok, do długiej i okazałej listy przybywają coraz to nowe nazwiska mniej lub więcej obiecujących adeptów sztuki, szereg dzieł rośnie i rośnie, aż oczy śmieją pilnemu badaczowi tej płodnej i pogodnej doby malarstwa naszego.

Nie jest wszelako wszystko tak, jakby być jeszcze mogło i powinno; talentów nie brak: to prawda, lecz warunków do ich oszlifowania, rozbudzenia, ukształcenia, nie mamy, niestety.

Odbija się to w sztuce; nasze młodsze pokolenie malarzy i rzeźbiarzy kształci się powiększej części nieprawidłowo, rozwija tylko technikę na drodze studyów, niezawsze nawet sumiennie i systematycznie prowadzonych, bo każdemu śpieszno do rozpoczęcia jaknajprędzej roboty produkcyjnej, zyskowej, któraby dała chleba kawałek; o rozwój inteligencji, o ukształcenie umysłowe nie dba się wiele. Zadużo czasu, zadużo pracy, zadużo i zauciążliwie potrzebaby przewlekać studia szkolne; pędził i paleta — oto cała skarbnica naszych młodych artystów, z których ich twórczość uczy się czerpać. Głowa i serce stoją na drugim planie, więc też najczęściej pusto w nich i ciemno.

Tem sobie wytłómaczyć należy zapewne tę jakąś szablonowość kompozycji w utworach młodszej generacji artystów, tę jałowość pomysłów, niedostatek, jeżeli nie zupełny brak, duchowej podniosłości, natchnienia i głębszej, lub oryginalnej myśli w ich dziełach.

Na całą tę ogromną galerią swojskich utworów pendzla, nawet dobrze malowanych, znaczna większość wyroźnia się tylko kolorytem, albo rysunkiem; podziwia się oko i rękę, co tworzyła obraz, ale nie widzi się duszy artysty, nie czuje się pracy i współdziałania umysłu jego w tej kreacji.

Nie bywa tak zawsze, ale bywa najczęściej.

Przykro powiedzieć, lecz naszym młodym malarzom brak humanitarnego wykształcenia, brak ocytania; poprzestają na technice i ta im wystarcza; nie podsycają umysłu, nie podniecają fantazyi, i ztąd lada jaki temat jest im dostateczny, ztąd na jednym motywie snują tysiączne wariacje, bo z czegoż mają czerpać?...

Pewnego razu proponowaliśmy jednemu z głowniejszych dziś malarzy, aby się zabrał do ilustrowania poezyj Pola, albo Pamiętników Soplicy, bo szkoda było, naszym zdaniem, tak rozdrabniać talent na malowanie koni wszelkiej maści i kontuszowców, ustawionych jak manekiny, choć z dobrą charakterystyką i animuszem.

— Prawda, — odpowiedział nam młody artysta, — możnaby to zrobić, tylko, — dodał z naiwną szczerością, — pierw trzebaby to wszystko przeczytać!... a to czytanie widocznie nie w smak mu było, pracę pojmował jedynie przy stalugach, z pendzlem w rękę; na książkę już miejsca brakło.

Cóż dziwnego, że na tak liczny zastęp rysowników i malarzy — zaledwie dwóch celniejszych mamy ilustratorów; oprócz Andriollego i Kossaka nie spotykamy prawie nikogo, coby ołówek swój poświęcał na usługi pióra. Rozumiemy, że do ilustrowania poetów, czy powieściopisarzy potrzeba jeszcze osobnego talentu, ale kto twierdzić może, iż talentów takich niema więcej, poza temi dwiema firmami? Wszakże nawet prób w tym kierunku nie widzieliśmy podejmowanych poważnie.

Nasz światek artystyczny zasklepił się sam w sobie; od pewnego dopiero czasu we Lwowie i w Krakowie rozpoczęto usiłowania w celu rozszerzenia jego sfery i utworzenia neutralnego gruntu, na którymby stykać się mogli swobodnie artyści z literatami i ludźmi nauki; powstały koła artystyczno-literackie, których znaczenie nietylko pod względem towarzyskim jest ważne. Obecowanie ze sobą w stosunkach niekrepowanych konwencyonalizmem lub uprzedzeniem wytwarza ciepłą atmosferę, usposabiającą i pobudzającą twórcze umysły do żywszego i owocnego działania. Warszawa pod tym względem jest dzisiaj wyjątkowo upośledzoną; brak jej takiego punktu zbornego dla ludzi inteligencji lub talentu. Niegdyś

szeroko w kraju słynęły nasze salony literackie, zebrania towarzyskie, na których starsi stykali się z młodszyimi, solidaryzowały się umysły, rozbudzały ambicje, ośmielały talenta. Dziś tradycja tylko się przechowała; jakiś separatyzm porozbijał nawet ludzi jednego zawodu, rozluźniły się węzły towarzyskie.

Mówiono dawniej: „poznajmy się, pokochamy się“; dzisiaj znamy się mało, a kochamy jeszcze mniej.

Miałby wielką zasługę ten, ktoby, niezrażając się nieudaleniemi próbami, zechciał wytworzyć, prywatny czy publiczny, taki grunt i na nim zebrać rozproszone żywioły naszego literackiego i artystycznego świata, bez uprzedzeń, bez koteryjnych ograniczeń. Ważny udział i zadanie miałyby w takim przedsięwzięciu nasze panie, których wpływ na życie towarzyskie umniejsza się, niestety, coraz bardziej, a redukuje się do obowiązków gospodyń, urządzających „tańczące herbatki“ lub „rauty ziewające“.

Wspomniawszy o potrzebie takiego punktu zbornego, takiego ogniska towarzyskiego, któreby tętniło zdrowiem i życiem, z przyjemnością winniśmy zaznaczyć podjęte próby Towarzystwa Wioślarskiego około utworzenia w swoim rodzaju klubu zimowego dla swoich członków, zaokrąglających już siódmą setkę stowarzyszonych. Dzięki staraniom D-ra Stankiewicza, prezesa, tegoż towarzystwa, udało się pozyskać do dnia 1-go Maja obszerny i wykwintny lokal w Pałacu Brylowskim, przeznaczonym na pomieszczenie w roku przyszłym urzędów telegraficznych. Na zimę zaś dwanaście salonów stanie otworem dla panów wioślarzy, którym Wisła wypowiedziała *locum* z nastaniem jesiennych słońc i spodziewanych mrozów. Mało instytucyj w kraju pochłubić się może taką sympatją i poparciem, jak to towarzystwo pod godłem syreny zawiazane u nas; w ciągu niespełna roku zebrało ono około 650 członków i kapitał 12,000 rs., a obrotny zarząd spodziewa się przedłużyć z każdym kwartałem listę, przedstawiającą isticie demokratyczną mieszaninę wszelkich stanów i zawodów. To, do czego tak trudno było dojsć na stałym lądzie, dało się osiągnąć na chwiejnych falach Wisły: zbliżenie i zrównanie rozmaitych żywiołów i sfer towarzyskich; gdyby tylko w tym kierunku dalej rozwijała nowa instytucja pomyślnie swoje działalność i wpływy, miałyby już prawo do uznania i racyi bytu.

Powracając po tem zbieczeniu do świata artystycznego, musimy kilka słów poświęcić sprawie naszego teatru; stało się w ostatnich czasach zwyczajem biadać nad losem sceny warszawskiej, utyskiwać rozpaczliwie nad jej upadkiem, i ze zgrozą załamywać ręce nad anarchią, brakiem energicznego kierunku w zarządzie, rozprężeniem, etc. etc. Zamało mamy miejsca w „Pogawędce“, aby szczegółowo rozbiierać zarzuty i badać wszystkie wykrzykniki i westchnienia tych lamentacyj nad losem Melpomeny naszej. Nie wszystkie są jednako szczere i usprawiedliwione; bądźco bądź nie jest dobrze, ale i nie tak bardzo źle, jak to czytamy w niektórych artykułach, adreśowanych pomiędzy wierszami do nowych bogów, które mają z urzędowej nominacji przyjść zaprowadzać ład i porządek w interessach naszego teatru. Najprzykrejszym i niezaprzeczalnym faktem w całej tej sprawie jest deficyt, wynoszący do 70,000 rs., ale za ten deficyt niepodobna w zupełności obwiniać tej lub owej jednostki. Składały się na ten materialny niedobór rozmaite okoliczności, a najwięcej cofnięcie i przepołowienie subwencji stałej, straty z powodu zawieszenia przedstawień w Marcu roku zeszłego, kilka zawodów na guście publiczności, która nagle wyleczyła się z operomani i włośkiej i z ciekawości do zagranicznych, choćby najslawniejszych, talentów.

Pokrycie zatem deficytu jest pierwszym i najważniejszym zadaniem dyrekcji nowej, na której czele według wiarogodnych pogłosek stanąć ma doświadczony w zakresie administracji, pan Longin Gudowski, od dwóch lat prezes komisji teatralnej, czuwającej nad projektem koniecznych reform w organizacyi i kierownictwie sceny. Jeśli mu się uda odzyskać cofniętą pomoc rządową, polowa zadania będzie od razu spełnioną; jeżeli nie, — trzeba będzie łątać, sztukować, oszczędzać,

spekulować, aby koniec związać z sobą i długi umarzać. Czy zaś ta praca amortyzacyjna da się przeprowadzić bez uszczerbku dla świetności sceny, czy w praktyce wszystkie teoretyczne projekta okażą się korzystnymi: to dopiero przyszłość rozstrzygnie. Publiczność nasza potrzebuje teatru, ma przywiązanie do sztuki, da się zawsze znaleźć dobrym repertoarem i staranną grą, więc zadanie nowego kierownika, przy dobrej woli i umiejętnym doborze środków, będzie z jej strony ułatwione; tylko niechaj pewna część naszej prasy nie przecenia niebezpieczeństwa, nie przesadza w złowróżbnych narzekaniach, nie wmawia w opinię, że jest tak źle, iż gorzej już być nie może, bo gotowa naprawdę przekonać i odstręczyć od teatru nawet tych, którzy owych baltazarowych głosek na ścianach przebytku warszawskiej Melpomeny zzewnątrz jeszcze nie dostrzegli i śpieszą chętnie na każde widowisko, zapowiedziane nowym afiszem.

Sprawiedliwość jest piękną cnotą krytyki i przewodników opinii publicznej, ale uprzedzenie bywa zgnubnem jej zaślepieniem, które z prostego gościńca sprowadza na bezdroże.

Rozpisał się dzisiaj tyle o kwestyach z dziedziny sztuki, że już chyba dla jednolitości charakteru niniejszej pogawędki zakończymy ją kilkoma wiadomościami z literatury i dziennikarstwa.

Oto jedną z najprzyjemniejszych nowin przyniósł nam sympatyczny Promyk na okładce swojego „Elementarza“, który w ósmym wydaniu uzupełnił sumę 145 tysięcy egzemplarzy tego dziełka rozpuszczonego między lud. Błogosławiona to ręka siewacza, co tyle ziarna oświaty zdołał rozrzucić na umysłową glebę naszych prostaczków.

Wkrótce pieczołowita „Macierz“ rozpocznie ma swoje działalność, której czcigodny jej twórca, J. I. Kraszewski w swym liście do marszałka Zyblikiewicza nakreślił cały programat, kładąc głównie nacisk na charakter utylitarny przyszłych wydawnictw dla ludu, a odsuwając twory powieściowe na drugi plan.

W związku z takim pojowaniem rzeczy „Zorza“ warszawska przestrzega przed jednostajnością kierunku rozwijania i wykształcania ludu tylko praktycznie. „Do zamożności — powiada to piśmko — włościanin nasz przyjść musi bez książki, ale do poznania swego *ja* w społeczeństwie i kraju, do otrząśnięcia się z przesądów, do pokochania tego kraju, bez książki i nauki przyjść nie może. Godzi się więc lud pobudzać do zwiększenia zamożności, lecz gdybyśmy wieśniaka *naszego tylko* w kierunku jego bytu materialnego rozwijali, to bardzo łatwo bez obniżenia sumienia, ktoby mu dał więcej, zaprzedałby zagon owego czoła potem oblanego. Co więcej, nie rozwijamy w uczuciach szlachetnych, szedłby za groszem wszędzie, gdzieby mu go tylko pokazano, a dla dojścia do zamożności, nie przebierałby często w środkach“.

Trzeba zatem dawać mu wiedzę, kształcić umysł, ale nie zaniedbywać w nim serca.

## TEORIA I PRAKTYKA

W ZA WODZIE NAUCZYCIELSKIM.

(Dokończenie)

Wszystko, co rozwija i wzmacnia inteligencją dziecka, wychodzi na korzyść jego moralnego kształcenia, i dlatego nauka pedagogicznie udzielana, ma tu swój wpływ ogromny. Dawniej uważano grammatykę jako jeden z najdzielniejszych środków formalnego wyrabiania umysłów, dziś przy nowych poglądach pedagogicznych zmieniono zdanie, sądząc, że jest to za ciasny i za jednostronny sposób rozwijania władz jego. Nie przyznając grammatyce szczególnego pod tym względem przywileju, znaczną część tego wpływu przysądzono naukom przyrodniczym i niewątpli-



wie uczyć one ścisłości, porządku, konsekwentności w myśleniu, rozbudzają zmysł spostrzegawczy, ale nie w nich nie skierowuje młodego umysłu ku tym moralnym ideałom, które powinny być celem dążeń i porywów ludzkości. Nie w nich nie uskrzydla myśli do lotu wzwyż, nie nie unosi tam, gdzie jednak szlachetny duch ludzki dążyć powinien. Wielu pedagogów nie przyznaje im nawet zbyt wielkiego formalnego znaczenia z przyczyny, że przy większej części umiejętności przyrodniczych, jak na przykład przy fizyce, przy historii naturalnej, uczeń głównie poznaje i notuje sobie fakta, nie sądząc ich i nie rozbierając, nie dochodząc przyczyn, co dopiero może mieć miejsce przy wyższych studiach przyrodniczych. Wtedy też powinny przyjść i studia filozoficzne, które spajają wszystkie gałęzie wiedzy w jedną całość i stawiając przed myśl człowieka najwyższe zagadnienia jego bytu, nadają kierunek ogółowi jego pojęć moralnych, na podstawie dążności jego umysłu powziętych. I w dziecku przy pierwszym rozświetleniu umysłu przez naukę już się to dzieje w stopniu pewnym i pod tym względem nie jest wcale rzeczą obojętną, jaką metodą i według jakiego systemu filozoficznego dziecko nauczanem będzie, bo odbija się to w sposób bardzo stanowczy na kształtujących się jego wyobrażeniach przez kierunek nadany jego myślom, przez myśli tych tryb i nawyknięcia, których pod tym względem młody umysł nabiera. Samo udzielanie nauki w sposób więcej lub mniej pedagogiczny, już ma tu znaczenie swoje i ogromne. Naprzykład nauka pamięciowa, mechanicznie w umysł wprowadzona, jedną tylko jego władzę: pamięć wyrabia, i umysł pozostawia w zastojach, który może stać się odrętwieniem myśli, brakiem zdolności dociekania i sądzenia, co niewynagrodzoną szkodę wyrządza, nie tylko inteligencji dziecka, ale jego charakterowi, bo ten nie może już dać wtedy życiu człowieka gruntownej podstawy działania. Rzeczą równie szkodliwą w skutkach stać się może nauka taka, która się składa z jaknajwiększej liczby powierzchownych, jak na popis gromadzonych wiadomości, bo wtedy umysł przywyka do płytkości, do łatwego nabywania bez pracy cięższej i rozwój jego pozorny, błyskotliwy, rzeczywiście żadnym rozwojem nie jest i ze wszystkich złych metod nauczania, najgubniejsza to może, bo umysł rozleniwiając się i przyzwyczajając do powierzchownego slizgania się po wierzchu przedmiotów, wady te całemu organizmowi duchowemu udziela i lekko-myślność tłem charakteru człowieka czyni.

Oddziaływanie takiej, a nie innej, nauki na moralne strony dziecka jest niewątpliwe; przecież oprócz ogólnego, mniej więcej kształtującego jej wpływu, potrzeba jest specjalnej, z tym względem szczególnym, uprawy umysłu i oprócz nauk historycznych, prócz nauki religii, która ma tu znaczenie najwyższe i niczem nie zastąpione, trzeba starać się dla dziecka o wykształcenie literackie, tak skierowane, aby było bezpośrednią lekcją moralności. Może się ono stać lekcją niemoralności, jeżeli młody umysł zetknie się z książką złą; książka licha, pisana konwencjonalnie, bez talentu, nie posiadająca siły zajęcia wyobraźni, wzruszenia uczuć, książka nudna, jest ztąd więcej szkodliwą niżby się to zdawać mogło, bo odstręcza od czytania i niechęć do niego wyrabia. Ale za to nie tak silnie szlachetnych serca uderzeń nie daje, nie tak obrazem cnoty młodej duszy nie uderza i niezapomnianym wrażeniem w umyśle się nie zapisuje, jak książka, napisana z siłą i ogniem, książka wychodząca zpod utalentowanego pióra. Sama rozkosz, przez piękno estetyczne sprawiona, już działa na młody umysł w sposób dodatni, bo go uszlachetnia, podnosi nad grube używanie jedynie przez zmysły; obudzenie, wyrobienie smaku estetycznego, tak przez dzieła literackie, jak w ogóle przez sztukę, jest wielkiego znaczenia w edukacji moralnej. Ale literatura, tak każdego narodu, jak powszechna, mieści w sobie utwory, których należy używać jako bezpośrednich sposobów kształcenia moralnego. Znaczenie poezji w wychowaniu, znaczenie arcydzieł literackich pod względem ich oddziaływania na umysły młode, wykazał przekonująco Chmielowski w swej wybornej, temu przedmiotowi poświęconej broszurze. Czytanie głośno ustępów branych z wielkich naszych pisarzy,

z poetów szczególnie, może być uważane za lekcję moralności w formie stokroć doskonalszej i skuteczniejszej działającej, niż gdyby to było czytanie traktatu etycznego, reguł i przepisów moralnych. Tu umysł się unosi, wyobraźnia zachwycą, serce się wzrusza, a władze rozumu sądzące dostają przedstawione sobie typy dobra, odziane szatą podniosłości i wspaniałomyślności szczytnej, lub wdzięku czystego, wreszcie spromienione tem światłem z góry bijącym, które jest nimbem nad głowami świętych, koroną blasków na czołach bohaterów. Stopniowe zapoznanie dziecka z pięknościami literackimi wyższego znaczenia, szlachetne wyrobienie mu pod tym względem smaku, ma tu pośrednio tę wielką korzyść, że broni to już potem chłopca czy dziewczę młode przed czytaniem ramot lichych, fałszujących pojęcia nasze moralne, broni od smakowania w książkach szkodliwie psujących, a które z czasem mogą się nieszczęśliwie dostać w ręce młodzie. Ale najwyższą już i bezpośrednią korzyścią dobrego ukształcenia literackiego jest kształcenie moralne, rozbudzanie uczuć wzniosłych: to też nauczycielka powinna wielką wagę przykładając do lekcji, na pozór najprostszej, do lekcji czytania głośno, która powinna być zamieszczoną w planie nauk, nie do tej pory tylko, póki to jest czytania wprawą. Nauczycielka umiejąca przedmioty czytania takiego dobierać i stopniowanie należyte w tem utrzymać, jest już nauczycielką, dobrze dziecko pod względem moralnym kształcąca. Niech to nie nosi wcale innego tytułu nad lekcją czytania, następnie nad lekcją pomocniczą literatury, a jak kwiat, który zrywamy dla piękna, dla wdzięku wzrok zachwycającego, przynosi nam zarazem słodką woń swoją, tak tu aromat dobrą wydzieli się z piękna szlachetnego i balsamem swoim napoi nam duszę.

Im czytania te będą w wyższym stopniu dla wychowanka przyjemnymi, tem w wyższym stopniu działają będą, a odjęcie im surowego pozoru lekcji moralnej, działanie to zwiększy owiele. Nie należy też tu pogardzać i tym wpływem, jakie ma nad nami wymowa, która do sztuk pięknych w całym znaczeniu tego wyrazu zaliczać się może. Sztuka pięknego czytania działa na słuchaczy niemal równie, jak sama piękność przedmiotu; głos czytającego ożywia wyrazy czytane, jego uczucie wlewa w nie ducha i takie, a nie inne odczytanie utworu literackiego jest dla niego zupełnie tem samym, co takie a nie inne wykonanie dzieła muzycznego. Trzeba na to przedewszystkiem czuć i rozumieć, co się czyta, ale w dodatku trzeba i pewnego wyrobienia organu głosowego, trzeba umiejętności rozmiernienia go na spadki. Muzyka to jest, którą tak przez uprawę odpowiednią kształcić i wykształcać sobie potrzeba, jak sztukę muzyki właściwej i należy to do rzeczy obowiązujących nauczycielkę, aby mniej więcej pięknie czytać potrafiła.

Często też powinna sama książkę wziąć i dzieciom czytać to, przez co chce najsilniej na nie oddziaływać, często powinna dziecku najpiękniej czytającemu ją dać z tą uwagą: — Czytaj ty, bo potrafisz najlepiej oddać piękno tu zawarte..., a będzie to pobudzeniem do szlachetnego wyścigu, do współubiegania się dobrze. Następnie rozmowa z dziećmi o rzeczy przeczytanej, nienosząca również tytułu lekcji moralnej, rozmowa swobodna, w którejby obok głosu nauczycielki, dawał się słyszeć i głos dziecka, tak, jak jedynie odzywać się może nie na lekcji, poufnie—oto dopełnienie rzeczy bardzo skuteczne i ztąd też bardzo pożądane.

Uczenie się na pamięć i deklamacja odpowiednich utworów są oddawna uważane przez pedagogię nie za samo ćwiczenie pamięciowe. Liczyć się tu powinno na wpływy moralne, przy czem nadmienić potrzeba, że deklamacja lepsza lub gorsza, nie jest dla tych wpływów nie nieznaczącą. Uczucia jakiegos wyraz dobrze oddać, to uczucie to zrozumieć i odczuć. Przez nacisk głosu, zwraca się uwagę dziecka na nacisk uczucia; jeśli tylko nie jest ono nauczanem jak papuga, jeżeli nauczycielka jest zdolną uczyć dobrze, objaśniać młody umysł należyście, taka lekcja deklamacji jest środkiem kształcącym umysł i serce, a wyuczenie się wiersza czy wierszyka na pamięć nie będzie jedynie pamięci tej ćwiczeniem.

Potrzeba jest niemniej dla kształcenia moralnego zupełnie już właściwej w literalnym tego słowa znaczeniu nauki moralnej; najstosowniej jest zachynając, łączyć ją z nauką religii, przecież z postępem czasu i edukacji należy dziecku zadawać czytanie książek, materyi tej poświęconych, zadawać mu opracowywanie przedmiotów moralnych, uczyć go etyki tak, jak się uczy każdego innego przedmiotu. Dzieci młode dobrze jest wyczuć na pamięć pewnych zdań, pewnych formuł moralnych, któreby im przychodziły z pomocą w postępowaniu, jako zapas rad dobrych, pamięci ich powierzonych, a które wystąpią przed umysł dziecka w chwili, gdy się między złem i dobrem waha, czy odróżnić jednego od drugiego niemogąc, czy będąc przyciąganem przez pragnienie jakieś w stronę, przeciwną tej, która do dobrego wiedzie. Jak w szkołach elementarnych pisze się po ścianach na użytek dzieci pewne aforyzmy, krótkie wskazówki postępowania, tak dobrze jest wypisać je w pamięci młodej i uczynić niby przysłowiami; objaśnić najpierw ich głębsze znaczenie, a potem w pamięć dziecka je wbić a odezwą się mimowolnie wtedy, skoro ich istota młoda w pierwszych samodzielnych życia praktykach zapotrzebuje.

Wszystko to przecież, co jest zmysłu moralnego podstawą, musi być z jednej strony i najpierw na rozsądnie rozbudzonem uczuciu dziecka zaszczerpione, musi być następnie i niemniej starannie na rozumie jego ugruntowane. Niech dobro ukocha dla jego piękna anielskiego, niech czuje wstręt do złego, jako do rzeczy brzydkiej, która duchy kała i poniża, lecz zarazem niech jego rozumek młodziutki zaczyna przyswajając sobie ideę dobra, jako początek szlachetnej mądrości życia. Powinno się to spełniać zwolna, stopniowo: edukacja moralna, tak na uczuciu, jak na rozumie oparta, powinna odnosić się najpierw do stosunków najbliższej otaczających, które też dziecko zna i pojmuje najlepiej, i dopiero przechodzić ze szczebla na szczebel wyższych powinności, wyższych obowiązków człowieka. Złe jest działać za pośpiesznie, kłaść poprostu w uszy dziecka to, czego inteligencya nie zdoła jeszcze pojąć, o czem dziecko nie zdoła jeszcze zrobić sobie potrzebnego wyobrażenia. Niekiedy zostaje to przecież w pamięci jego jako zapas, niby nieużyteczny, bo nieużyteczny na razie, który jednak później znajduje ono sobie i rozeznaje: to też kto wie, czy nie jest gorzej jeszcze postępować za wolno i zbyt się ociągać, pewnych strun uczucia zbyt długo nie poruszyć, pewnych wyobrażeń umysłowi dziecka zbyt długo nie przedstawiać, bo już nigdy potem nie zakorzenia się tak w grunt moralny istoty młodej, nigdy się tak z jego uczuciem, z jego myślą nie spoją, nie zżyją, jak-by to być mogło przy innym działaniu wychowawczem. Kto naprzykład według *Emila* Rousseau postępując, dopiero wtedy dziecku o Bogu mówić będzie, gdy jego umysł już zdolnym się stanie do pojęcia idei bóstwa, a poprzednio struna religijnego uczucia — religijności, nigdy w młodej piersi niewzruszona, spoczywała, już nigdy z dziecka tego nie wyrosnie człowiek religijny. Taksamo uczucie obywatelskie, świętość obowiązków dla kraju i społeczeństwa swego, musi być dziecku wcześniej przedstawianą, w serce wszczepioną, aby powstała ta i taka miłość, o której stary nasz poeta powiada, iż dla niej „zjadł smakuja truczny“. Utarte o tego rodzaju uczuciach wyrażenie, że są z mlekiem matek wyssane, kryje w sobie głębokie znaczenie filozoficzne; religijność, uczucie miłości dla kraju i bliźnich, powinno być od niemowlęcego niemal wieku w dziecko wlewane. Niech wzrok jego w górę za najwyższym, nadziemskim ideałem przywyka podnosić się od małego, niech jego usta nauczą się z zapałem miłosnym od małego ziemię rodzinną całować, niech dziecko w każdej istocie ludzkiej godność człowieka uszanować umie, a w każdym człowieku brata uzna — a dopiero wtedy powiedzić można, że edukacja jego moralna dostała podstawę dobrą, grunt stały na odpowiedniej uprawie uczucia i umysłu oparty.



# KRÓLEWIEC I GRUNWALD

## OPOWIADANIE HISTORYCZNE

przez

Felixa S\*\*\*\*

(Dalszy ciąg)

I to ostatnie nasze pożegnanie? — zawołała, powstawszy bystro i chwytając go za rękę.

— Tak jest, ostatnie — odrzekł. — Stanęliśmy u kresu podróży. — Lecz wkrótce pełnym rozrzwienia głosem dodał:

— Ah! Klaro! Klaro! I pocóż ja w to ustronie przyjechałem? Bądź zdrowa, szczęśliwa i zapomnij o mnie!

— Mówisz mi o szczęściu w zapomnieniu! Lecz nie daremnież to życzenia? Szczęście dla nas obojga nie na tym świecie, a zapomnienie i spokój w grobie....

Wyrzekłszy te słowa, Klara, blada, drżąca i zrozpaczona, rzuciła mu się na szyję i usta obojga spoily się w pierwszym i ostatnim pocałowaniu.

Rycerz dosiadł konia i puścił się cwałem; lecz ciągle brzmiała mu w uszach ostatnia jej prośba:

— Konradzie! Konradzie! usłuchaj mojego klęcia i wystąp z nienawistnego zakonu.

Przecudna gwiazda jego młodości zajaśniała znowu nad bezbarwnym życiem i wabiła ku światu, szczęściu i weselu, gdy z drugiej strony pamięć wywołała z przeszłości surową postać mnicha, przed którym wykonywał ślub bezżeństwa, wierności i posłuszeństwa zakonowi. Konrad szarpany sprzecznymi uczuciami, zaczął odmawiać Psalmy Pokutne, pragnąc obudzić w sobie ducha umartwienia, zgodnego ze swoim powołaniem. Biedny fanatyk! Wierzył jeszcze w dobroczynne posłannictwo Zakonu, który od czasu usadowienia się na lądzie nadbałtyckim był nieustającą plagą uciśnionych plemion i celem przekleństwa mocarstw sąsiednich.

Dojeżdżając do obozu, Konrad spotkał się z jakimś jeźdźcem i przy świetle księżyca, poznał w nim Sonnenberga. Ten ostatni, trapiiony bezsennością, błąkał się, jak widmo, po polach i zarosłach i korzystając ze spotkania, zatrzymał Konrada. Jakkolwiek młodzieniec znajdował się wcale w usposobieniu do rozmowy, mimoto musiał pozostać.

— Jedziemy tedy na wojnę — rzekł komtur. Wielki mistrz i kapituła nietylko nie wątpią o zwycięztwie, ale już z góry wydali wyrok, skazujący króla, senat i rycerstwo polskie na karę więzienia i kajdan.

— Nie wiem, panie kommandorze, czyby taki wyrok mógł być wydany. Trzeba-by naprzód odnieść stanowcze zwycięztwo, a nawet, odniósłszy je, uznać, że król wielkiego mocarstwa chrześcijańskiego, jego senat i rycerstwo nie są zbuntowanymi poganami, lecz bronią praw swoich, które zapewne za słuszne uznają.

— Wątpisz o tym wyroku? — odrzekł Sonnenberg. — To pytam się ciebie, mój młody bracie, dla kogo wieziemy ze sobą czterdzieści tysięcy kajdan? Ten fakt nie potrzebuje objaśnień: jasny jest sam przez się....

— Jakkolwiek, nigdy nie miałem wysokiego wyobrażenia o mądrości mistrzów i kapituł, nie przypuszczałem wszelako, iżby w radzie zakonnej, przeważnie złożonej z samych szczytów lisów, było tylu radców najzupełniej z rozumu obranych. Zaszlepiła ich do reszty chciwość, żądza zagrabienia cudzej własności. Na ostatniej naradzie w Malborgu zaledwie kilku ludzi rozumnych i z zimną krwią zapatrujących się na obecne położenie Zakonu przemawiało za pokojem. W tej

szcuplej liczbie pierwsze trzymał miejsce hrabia Wende, twój przełożony.

— Mój przełożony — rzekł Konrad, ozywając się na samo wspomnienie Wendego, którego czcił i kochał jak ojca. — Mój przełożony, był zawsze wzorem cnót rycerskich i zakonnych, pełnym wielkich przymiotów rozumu i serca. Na ostatniej naradzie, niezrażony wcale większością głosów przeciwnych, oświadczył nawet, że Polska i Litwa mają słusność za sobą i że prócz tego nasz Zakon nie jest tak potężnym, iżby mógł liczyć z pewnością na losy bitew.

— Komuż tedy, bracie Konradzie, życzysz w tej wojnie zwycięztwa?

— Komu? Przysięgłem wierność Zakonowi i będę bronił jego sprawy do śmierci — odrzekł Konrad. — Życzylbym sobie tylko, jeżeli Bóg Wszechmocny wysłuchać mnie raczy, życzyłbym sobie nie przeżyć ani klęski, ani nawet zwycięztwa Zakonu.

— Pozwól mi powiedzieć, Konradzie, że ty jesteś dla mnie prawdziwą zagadką. Zawsze mi ta myśl przychodzi, kiedy patrzę na ciebie.

— Dlaczego, kommandorze?

— Rozpatrując się między bracią zakonną — odpowiedział Sonnenberg — widzę dokoła beczelne spojżenia, wytarte czoła i skłonności, któremi szatani w piekle pochłubić-by się mogli; kiedy ty, Konradzie, po dwunastu latach swojego zawodu, jesteś takim, jakim się poznałem, ludzkim, szlachetnym i prawym człowiekiem. Takie serca, jak twoje i twojego przełożonego, komtura Wende, nie dla Zakonu są stworzone. Nasz przewielebny zakon, od lat już dwóchset i więcej, od czasu jak przestał w dalekiej Palestynie wojować z Saracenami, nie ma już najmniejszej racji bytu, i gdybym był na twojem miejscu, uciekłbym z jego grona, przeklinając chwilę, w której do celi krzyżackiej wszedłem. Ale już późno: potrzebujesz wypocząć. Dobra noc, Konradzie!

Zugehör spojrział za odjeżdżającym i rzekł do siebie:

— Nie podobna, iżby prawosć i cnota były wygnane z naszego Zakonu. Nigdy temu nie uwierzę. Jak wszędzie tak i u nas nieludzkość i występki są tylko wyjątkiem. Ale po chwili, zwracając się do smutnego przedmiotu, który pochłaniał całą jego uwagę, dodał z goryczą:

— Jakież jest teraz cel mojego życia? Gdzie się podziela cisza mojego serca? O Klaro! Klaro! Pocóżemy się znowu spotkali! Ale modlitwa mnie zbawi, rozproszy żale po niepowrotnej przeszłości. Przed jej potęgą umilkłą ziemskie wspomnienia i znowu spokój osiedzie w duszy pokutnika.

Daremnie się jednak modlił: same tylko usta powtarzały litanie, psalmy i inne modlitwy brewiarza, lecz myśl błędziła po latach błogiej, szczęśliwej i wolnej młodości; a gdy nareszcie, zmęczony trudem, zasypiał, znajomy głos wołał nań: — Konradzie! Konradzie! błagam cię: wystąp z nienawistnego zakonu!

## XII.

Z obozu nad jeziorem Rubkowo król Władysław, po naradzie odbytej z wielkim księciem Witoldem i wodzami Wojska Polskiego, wyprawił do Krzyżaków w poselstwie Piotra Korzboga, ofiarując im pokój, pod warunkiem, że się zrzekną Żmujdzi i zwrócą Polsce Ziemię Dobrzyńską.

W skutku tego-to poselstwa wielki mistrz, zbliżający się już ku rzece Drwęcy, zwołał wielką radę zakonną w zamku Bratyan, leżącym na drodze, po której wojska zakonne ciągnęły, i przedstawił jej treść żądań polskich.

— Jakto? — zawołał wielki szatny Zakonu, próżny i ograniczony Werner von Tettingen, który jednakże na porywczego i zuchwałego mistrza przeważny wpływ posiadał — jak to? zamiast ukorzyć się przed naszą niezłomną potęgą, ten król, niedawno jeszcze w pogańskiej ciemności pogrążony, poważa się wymagać od nas ustąpienia z naszych posiadłości? Spodziewamy się najprze-

wielebniejszy mistrzu i panie, że w wysokiej mądrości waszej racycie odrzucić wszelkie układy. Dosyć już mówiono o pokoju, dosyć już nam tej zniewagi, że sztandar lechicki powiewa zuchwale na świętej ziemi naszego zakonu! Dosyć już układów i czas ukarać najezdniczków!

Zdanie szatnego pozyskało niezmierną większość głosów. Lecz komtur Gniewa, Albrecht hrabia Wende, wystąpił na srodek sali i z odwagą ciwilną — rzekł do Ulryka von Jungingen:

— A ja zaś, mistrzu, nie jestem za wojną i zgrzeszyłbym ciężko przed Bogiem i własnym sumieniem, gdybym raz jeszcze, w tej stanowczej godzinie, nie wypowiedział mojego zdania.

Szmer obecnych zaczął się szerzyć po sali. Komtur powiódł oczyma po zgromadzeniu i mówił znowu:

— I któż tu ma prawo, mnie, rycerzowi i komturowi Zakonu, zabraniać wolnego głosu? Nie na to wezwany zostałem na waszą radę, iżbym ślepo i w milczeniu wam potakiwał, iżbym się wyrzekł mojego szczerzego przekonania. Nie nawróciliśmy Żmujdzi na świętą wiarę naszą: na czym-że więc oprzemy nasze prawo do władania tym krajem? Ziemia Dobrzyńska jest własnością polską. Wojna z mocarstwem chrześcijańskim sprzeciwia się prawom Boskim i posłannictwu naszego zakonu. Taka jest strona moralna dzisiejszej sprawy. Co się zaś tyczy świeckiej i politycznej, widzę to tylko, że król Władysław i książę Witołd stoją na czele tak groźnej potęgi, iż mogą zadać stanowczą klęskę naszemu zakonowi.

— Kto w taki sposób przema wia, panie hrabio — odrzekł chępliwie stary Tett ingen — najlepiej-by uczynił, gdyby wziął brewiarz do ręki i zamknął się w celi, kiedy go sama myśl boj u przestrasza.

— Cały Zakon był świadkiem mojego zawodu rycerskiego, bo widywał mnie w bojach, ale czy widział ciebie, panie szatny? — odrzekł hrabia z dumnym uśmiechem. — Ja, za łaską Bożą, spodziewam się znaleźć zgon rycerski na polu sławy, ale ty, ty pierwszy z placu bitwy sromotnie uciekniesz; ja ci to przepowiadam.

Członkowie rady opuścili salę, uradziwszy odrzucenie wszelkich propozycji pokojowych.

— Idźcie! idźcie, pod obuch lechicki, głowy tępe i twarde! — rzekł Sonnenberg, patrząc za odchodzącymi. Stał, z której wasze szyszaki ukuto, wydaje iskrę, gdy się nią trąci o kamień, ale kto iskrę rozumu z waszych mózgów dobędzie?

Salzbach i Schwelborn, pociągani jakąś fatalną siłą ku Sonnenbergowi, zbliżyli się doń i jeden z nich odezwał się:

— Stanęliśmy nakoniec u kresu naszych życzeń. Nigdy jeszcze nasz Zakon nie miał takiej potęgi zbrojnej, jak dzisiaj. Co sądzisz, bracie Andrzeju, o skutkach tej wojny?

— Nieprzewyciężony prąd nierozumnych nadziei i ślepych dążeń popycha ten Zakon do nieuchronnej zguby — odrzekł Sonnenberg.

— A zatem — zapytał Schwelborn — wróżysz nam klęskę?

— Wszystko ją nam wróży — odpowiedział Sonnenberg. — Czyś dotąd jeszcze nie ocenił wartości rozumowej tego ubóstwianego mistrza, lub też zbiorowego rozumu wielkiej rady zakonnej? Czy w całym tym tłumie jest choćby jedna głowa zdolna do kierowania losami mocarstwa, które, przestawszy być potęgą rycersko-zakonną, nie dorosło jeszcze do godności państwa świeckiego? Rozważnych głosów Wendego i dwóch, trzech innych, same tylko ściany słuchały. Lecz wkrótce nastąpi dzień sądu i kary!

— O jakim sądzie, o jakiej karze mówisz? — zapytał Schwelborn — i któż ma prawo sądzić i karać?

— Ten, kto ma siłę potemu — odrzekł Sonnenberg tonem posepnym. — I kiedy się zastanawiam nad waszą ślepotą, przychodzi mi na myśl wspomnienie z czasów już dawno minionych.

— Jakież?

— „I mistrz i komtur, i rycerz i gość upadną w boju, jak kłosy pod sierpem żniwiarza!“

— To przepowiednia gdańska — rzekł Salzbach; pamiętam ją, co do słowa — pamiętam początek i



koniec — I mówiąc to, zamyslił się, ale po krótkim milczeniu odezwał się z dziwnym, jak na komtura krzyżackiego, spokojem:

— Smutna to byłaby rzecz, zaiste, gdyby się ta przepowiednia ziszcila, jeżeliby jednakże tak wypadło, to cóż na to poradzić?

— Niech Bóg obroni Zakon od wszelkiej klęski! — odezwał się i Schwelborn z kolei. — Lecz jeżeli wielki mistrz ma zginąć, a przy nim zapewne i wielu komturów, to zdarzyć się może, iż jednego z nas trzech kapituła na jego miejsce obierze. Pamiętajcie, jak sądzę, koniec przepowiedni? — „Wy trzej wyjdziecie z bitwy wolni, cali i nieknięci: choć żaden z was nie ujrzy świtu następnej doby“.

— Ale, czy wiecie — zapytał Sonnenberg — dla czego wyjść mamy cali i zdrowi z tej klęski?

— Dla tego — odrzekł Schwelborn — że nasze hufce nie będą rozbite, jak inne, i że cofniemy się z bitwy z rozwiniętymi sztandarami w bojowym szyku.

— Nie ludź się tą nadzieją! — rzekł Sonnenberg — haniebna ucieczka ocali nam życie. Zapytaj Salzbacha, komu winien ocalenie nad Worskłą? Nogom swojego konia<sup>1)</sup>. Mężtwo ożywia tylko prawe serca, a krew niewinna ciąży na naszym sumieniu. Zbrodnia królewiecka zabiła nasze słynną niegdyś odwagę i na sam widok mściwego Witolda, bladzi z przestachu, umkniemy z pola sławy, na którym inni rycerską śmierć znajdują!

(Dokończenie nastąpi)

## PRZEGLĄD TEATRALNY.

*Bibiński*, komedya w 1 akcie, oryginalnie napisana przez M. Gawalewicza; *Nie irytuj się*, fraszka sceniczna w 1 akcie, przez Ż. Abe, — przedstawione poraz pierwszy na scenie Teatru Romantyczności.

Zapoznam cię, czytelniku, z pewnego rodzaju oryginałem, z człowiekiem bardzo sympatycznym a uczciwym — tą uczciwością czynną, która nie ogranicza się do nieszkodzenia ludziom, lub serdecznego współczucia z nimi, ale jeszcze dobre istotne świadczy im usiłuje. Człowiek ten jest główną postacią w najnowszej komedyi p. Gawalewicza, a na imię mu Hilary. Czy młody? gdzieby tam młodość taki poważny cel i taką wyszukaną formę dla działalności swej obierała! Hilary jest już niemiłym latami; starzejący się to już kawaler sensat, ale jeszcze młody sercem a przytem tak gładki i przyjemny, że mógłby nawet trzpiotowatej pani Maryi głowę zawrócić, gdyby mu tylko autor na to był pozwolił. Nowy znajomy nasz w domu przyjaciela swego Romana jest jakby u siebie; lubią go tu wszyscy i on do wszystkich szczerze się przywiązuje. Prawdziwy przyjaciel domu, szczęśliwe położenie swoje chce i umie wyzyskać dla dobra tychsamych, którzy go przywiązaniem i ufnością obdarzają. W wieku Hilarego człowiek z wyższą inteligencją a szlachetniejszym sercem, jeżeli tak, jak on, ma być niepodległy i w zawodzie żadnym nie utonie, zaczyna się już stawać mądrym; niewiele pragnąc dla siebie od ludzi, tem więcej pragnąc może dla nich samych; patrzy na ten świat i światek ludzki obiektywnie; istoty i czyny przedstawiają mu się jak proste siły i zjawiska; miłość Idealu panuje w nim nad miłością istot ludzkich, a raczej w miejsce jej wstępnie: może więc taki człowiek śmiało prawdę mówić, może dobro świadczyć, nie wymagając za nie wdzięczności i przez samo swoje istnienie w życiu obyczajowem rzetelne przynosi pożytki.

Takim nie przedstawił autor Hilarego, ale go takim pomyślał i takim go też sobie wyobrażamy. Znalazłszy się w domu swego przyjaciela, oryginał nasz ma tu sporo do roboty. Oto najpierw

żona trzpiot, laleczka i bawidełko; potem mąż letkiewicz szukający towarzystwa poza domem a schwytyany już na wędkę przez jakąś baletnicę; wreszcie obaj ojcowie: jej, pan Piotr, przez dobroduszość wyrzucający pieniądze; jego, Seweryn, przez nawyknięcie dawne żyjący z cudzego grosza, na skalę eleganta i modniaś światowego, pomimo siwych już włosów i zupełnych pustek w kieszeni. Trzeba to wszystko przerobić, uporządkować — poprawić, aby przecież jakotako żyło pobożemu. Hilary bierze się do roboty, ale twarz sobie zakrywa; zmyśla jakiegoś „Bibińskiego“, a zmyślenia tego potrzebuje, nietylko dla skromności swej, ale i dla skuteczności działania. Ani utracysz z cudzego p. Seweryn, wyzyskujący p. Piotra, nie byłby od kupna drogiej pary koni odstąpił, gdyby nie ów myt tajemniczego nabywcy; ani p. Piotrowi nie byłoby zostało kilkaset złotych w kieszeni, gdyby nie ów „Bibiński“, ani wreszcie Roman nie dostałby skutecznie biczem postrachu, gdyby go przyjaciel nie był zastraszył owym nieistniejącym rywalem. Dzięki tylko „Bibińskiemu“ przeniawierzający się mąż odstępuje od baletnicy, a bukiet dla niej przeznaczony dostaje się żonie — co, oczywiście, sprzawdza nawrócenie. Dzięki tylko również mytycznej postaci Bibińskiego, pani Marya bez obrazy i gniewu może wysłuchać słów prawdy: „Nie bądź trzpiotem i lalką, jeżeli chcesz być żoną człowieka niezbacającego nigdy z drogi obowiązku“. Takim sposobem ów Bibiński, wchodzący wszystkim w drogę, aby zaciekać p. Maryą, odstraszy jej męża, zadziwi p. Piotra a rozgniewa p. Seweryna — rozwiązuje szczęśliwie to jednoaktowe maleństwo. Wszystko kończy się jaknajlepiej na tym najlepszym ze światów i sam tylko Hilary, jako wytwór sztuki dramatycznej na rozwinięciu ostatecznym źle wychodzi: zawiele gada o sobie i niepotrzebnie przez to ściera urok doskonałej bezinteresowności, z którym do końca powinien być pozostać. Gadulstwa jego żadna nie usprawiedliwia potrzeba. Od chwili wejścia „Bibińskiego“ wszyscy dobrze wiedzą kto i co zrobił.

Charakterów od tej niłej drobnostki nie wymagamy; nie jest charakterem nawet Hilary, przez sam układ sztuki zajmujący najpierwsze w niej miejsce i najlepiej opracowany. Chcąc taki pomysł w prawdziwym charakterze przedstawić, potrzeba-by napisać sztukę 3-aktową, a tak wysoko autor na teraz sięgać jeszcze nie chciał. *Bibiński* przypomina nam rzeźbę dopiero napunktowaną i czekającą na dłuto, na rzeczywisty artystyzm. Zaletą główną nowej sztuki p. Gawalewicza jest świeżość jej pomysłu w budowie — nowość jej intrygi wobec sztuk jednorodnych najnowszego naszego komedypisarstwa. W przeprowadzeniu pomysłu widać więcej literackiego dowcipu, niż żywego, z żywej natury ludzkiej na gorąco tworzącego talentu dramatycznego; ale to, co jest, stawia nową próbę p. Gawalewicza wyżej od poprzednich: od *Świdrzykowskiej* lub od *Preludjum*. Czy teatr będzie miał kiedy pociechę z nowego pióra? trudno dziś rozstrzygnąć. W każdym innym rodzaju poezji można dużo — powiadamy „dużo“ a nie „wiele“ — zrobić wolą, wysileniem; samą chęcią tworzenia; w jednym tylko dramacie najlepsza wola, najpotężniejsza ambicja, najsumienniejsze wysilenie — niczego nie dokażą bez tego małego płomyczka, z którym Grecy wyobrażali sobie swą Psyche. Młodego pisarza nie potrzeba do pisania zachęcać; potrzeba mu raczej zczyść, aby jaknajmniej na scenę z tego, co napisze, dawał; im dłużej poczeka, tem pewniej u celu stanie. Horacyuszowe dziewięćciele niko mu jeszcze na złe nie wyszło. Dobrze jest prędko tworzyć, ale złe prędko na świat wydawać: dowód w obecnym wypadku. Gdyby nie zbytnia skwapliwość, byłby miał autor czas do namysłu dla usunięcia z *Bibińskiego* śpiewki męża bałamuta, którą rozmyślnie chyba tylko *ad captandam benevolentiam vulgi* wprowadzić tam było można; byłby nam, dalej, przysługę baletniczą uszlachetnić; byłby wreszcie lepiej ustosunkował rolę Hilarego i Romana.

*Bibiński* wystąpił przed nas bardzo starannie, pokaźnie, nawet wystawnie. P. Rapacki był Sewerynem, p. Tatarkiewicz — Romanem, panna Wisnowska — Maryą — nazbyt może trzpiotowatą; p. Grzywiński wreszcie grał rolę tego bladego

punkciuku, któremu autor dał nazwę Pana Piotra. W głównej roli Hilarego p. Prażmowski dobrze się przedstawił. W ogóle artyści i dekoratorowie szczerze a skutecznie dopomogli autorowi do powodzenia sztuki.

Jeżeli zdolności dramaturgiczne p. Gawalewicza stanowią jeszcze dziś niewiadomą, dla której dopiero przyszłość właściwą wartość wynajdzie, zdolności autora fraszki scenicznej p. t.: *Nie irytuj się* dziś już dadzą się określić jako nieistniejące — przynajmniej świeżo przedstawiona sztuczka dowodzi braku ich w rozpaczliwie przekonywający sposób. Ani założenia, ani składu, ani ładu w tym niefortunnym utworze; całość złożona ze strzępków, pozszywana, połatana z różnych pomysłów i różnych położen scenicznych; woli kierujące, myśli przewodniej — jakiegokolwiek bądź myśli, brak zupełny. Gdy patrzysz, słuchasz, zdaje ci się, że to wszystko raczej igłą szyte, niż pisane piórem: zachodzisz w głowę, kto mógł to napisać, jak mógł napisać, a napisawszy, na scenę oddać? Autor przeskakuje ciągle z jednego założenia na drugie: zaledwie nam ukazał Przypilskiego adwokata, wiecznie śpieszącego się, wiecznie przez otoczenie swoje irytowanego, a za tę irytacją strofowanego, nawet przez własnego lokaja, zaraz nas stawia wobec służącego niezdary i z niego robi bohatera sztuki; to znowu każe nam słuchać kłótni zięcia z matką żony, Baronową; to wreszcie, gdy już wszystkiego spróbował, a nie mu się nie udało, zwraca wzrok nasz na wprowadzonego niezdarnie jegomości z długimi włosami, dawnego znajomego owej baronowej. Wszystkie te postaci, jedna po drugiej, są czeze, powszednie, z papieru powycinane, niczem nie pociągają i niczem nie przywiązują do siebie. Dowcip tylko mógł być dla podobnej fraszki deską ratunku, mógł ją nawet wyprowadzić na jakitaki poziom sztuki: ale utworek, o którym mówimy, tak jest blade, niedowcipny, wszelkich zalet właściwego stylu pozbawiony, że nie go już od zatonięcia w niepamięci publiczności teatralnej nie uchroni. Tego mu tylko życzyć musimy — dla dobra samego autora, któremu pamięć o tej fraszce zaszkodziłaby tylko mogła kiedyś, gdy napisze coś lepszego.

P. Tatarkiewicz grał rolę główną. P. Ostrowska znowu jako Baronowa zaciniała zlitewska. Że też pani Ostrowska tak gwałtownie usiłuje przekonać widza iż przeciągając, robi wszystko co może i jest *au bout de son latin!* Osobliwsza szczerzość i otwartość.

S. K.

## O PRZEDŁUŻENIU ŻYCIA

(Według szkicu Preyera z Jeny).

(Dokończenie).

Możnaż tym wszystkim prawidłom podolać; czyli uzbrojony w nie człowiek, będzie mógł odpowiednio życie swe urządzić i czyli tego rodzaju żądania nie są sprzeczne z naturą ludzką, którą tysiąc niemocy trapi? Nie każdy poszczycić się może energią i konsekwencją działania w drobnostkach nawet, jaką się Benjamin Franklin i Wenecyanin Cornaro wyróżniali. Ostatni w 35 r. zasłabł z przyczyny nieroztropnego życia w rozkoszach, co w 40 r. fałszywie się lecząc, blizkim był śmierci, dopiero w 56 r. zmienił całą dyetetykę i higienę swoje i mimo wątłej budowy organizmu, dożył 104 lat. Ci mędrzy i najwięksi filozofowie na swój wiek, podobni Pytagoresowi i Kantowi — byli szczęśliwi; lecz to są wyjątki. Twierdzenia Tyberyusza, iż głupcem jest, kto po trzydziestym roku życia innego się radzi lekarza, niż własnego rozumu, nie każdy podzielać będzie, a jednak znajduje się w nim i część prawdy. Każdy z nas, gdy doszedł do rozumu, jest w pewnych danych panem woli i czynów; nabytem w życiu doświadczeniem nauczony, wie on, co dobrem dlań, zdrowem jest, lub nie: jeśli więc ciało jego choruje, rozum przypisać winien skutki złego samemu

<sup>1)</sup> Salzbach w 100 koni posilkowa! Witoldowi przeciwko charnowi Edyde.



sobie. Znajdą się antagoniści, którzy dowodzić będą błahostki wszelkich dyetetycznych prawideł. Spytaj—powiedzą—starych zdrowych mężczyzn i kobiet, jak żyli? — odpowiadzi ich niezgodne będą z higieną. Jeden mówi, iż zawsze jadł, chociaż głodnym nie był, i pił, chociaż pragnienia nie czuł, czego przecież wstrzemięźliwością nazwać nie można; drugi, iż nigdy do sytości nie jadł; trzeci nakoniec będzie, jak ów sławny Mittelstädt, który się do reguł wcale nie stosował, a 112 lat zdrowo przeżył.

Co więcej, zdarzają się wypadki u ludzi klasy roboczej, niemających wykształcenia, aby się z dyetetyką zapoznać, iż przy skromnym życiu i ciężkiej pracy, późnej starości dożyli, jak ów chłop angielski Thomas Parre, który umarł, mając lat 152. Kto wie czyliby nie żył i dłużej, gdyby nie król Karol I, który zapragnął oglądać ten niezwykły okaz starości i starca do Londynu sprowadzić rozkazał, aby go pokrólewsku ugościć; lecz chłop z wdzięczności wkrótce umarł—na niestrawność. Drakenberg, nader żywej imaginacji, przyzwyczajony do nieprawidłowego hulaczego życia, żył 146 lat. Baron Paravicino de Capellis namiętnie pił herbatę, nigdy mięsa nie jadł. pierwszy raz ożenił się w cztertnastym roku, a po raz czwarty w osmdziesiątym; żył lat 112.

Wypływałoby ztąd, iż wśród różnorodnych okoliczności, przy niedostatecznym znanstwie dyetetyki, dożyć można również późnego wieku, mimo zbożeń od maxym higienicznych. Prawidła są zbyt techniczne, skutek wątpliwej natury, gdyż sami arystarchowie tej nauki, jak Hufeland i Bacon, wcześniej pomarli; a że żyją dziś jeszcze starcy stuletni, uważają to należy za szczęśliwy fenomen.

Tego rodzaju interpretacje zdradzają więcej złości, niż rozważa i maleją i tracą siłę przy bliższym objaśnieniu. Celem nauki jest, wczesnej śmierci zapobiedz i słabowitych silnymi uczynić; cel ten w tysiącnych wypadkach osiągnięto: byłoby to więc pojęcie spaczne, gdybyśmy także z wyjątkowych tych wypadków sądzili o wszystkich i przepisy makrobiotyki za zbyt techniczne uważali. Nauka ta niezgo w trybie życia od ludzi nie żąda, prócz rozsądku. Ci, co żyli nierozważnie wcześniej umierali od tych, którzy wcześniej, bądź później reguł dyetetyki słuchali. Autorowie makrobiotyki zawcześniej poumierali, lecz ztąd nie wpływa bynajmniej nieużyteczność ich nauki. Hufeland był lekarzem i przez sam swój zawód miał przed sobą mniejsze prawdopodobieństwo życia długiego. Bacon mógł śmiało powiedzieć: „Postępujcie według słów, nie według czynów moich“. Ten filozof zniszczył się zbyt szczęściem, które go olśniło blaskiem królewskiej łaski; zdziwaczał i w ostatnim trzecieciu żył dzień nie po 30 granów saletry, celem przedłużenia sobie życia. Istotną przyczyną śmierci jego była nieostrożność przy badaniach naukowych.

Makrobiotyka równobrzmiąca z higieną, jest nauką doświadczalną; jej prawidła czerpane z życia, złożone z liczb statystycznych, nie są przypackowe. Setki ludzi ponad sto lat żyjących, o których najniższego nawet zakresu historia nie wspomina, dają dowód, że życie przedłużyć można. Czyli niejednemu z nas nie zdarzało się doświadczać, iż przy jakimkolwiek cierpieniu fizycznym, pomijając potrzeby lekarskiej opieki, już samo rozsądne zachowanie się w trybie życia, z uwzględnieniem prawideł z praktyki znanych, wielką częstokroć sprawiało nam ulgę? Jeśli ktoś wie z doświadczenia, że przeziębiecie nóg mu szkodzi, a wiedząc o tem, kiedyś znowu na zaziębienie się narazi, głupcem jest—i tego rodzaju adeptami makrobiotyki się nie zajmuje. Zdarza się znowu naodwrot, iż niechęć rozumieć, bądź nierozumiejący, rad higienicznych, sądzi, iż celem wywołania ciepła pokój silniej ogrzewać należy, zamiast coby sam powinien ciepłej się ubrać, albo większego ruchu używać. Są i tacy, którzy ośmielają się rozpowszechniać zdania, iż życie reżtropne, ścieśnione wężdłem prawidłowości, jest bez interesu i prowadzi do hypokondryi; gdyż właśnie co nam najbardziej smakuje, tego dyetetyka zabrania. Lecz jak niema większego nieszczęścia dla ludzkości nad to, gdy się małych wielkimi robi, podobnież i w nauce niemasz większej dla niej krzywdy nad mędrkowanie niedoświadczo-

nych. W tem leży właśnie największe zaślepienie i przyczyna, dla której pokolenia ludzkie karłowacieją.

Ze starością rzecz się ma, jak z bogactwem. Skoro młody, energiczny rzemieślnik, średnich zdolności, przedsięwzięcie sobie za pomocą pracy statecznej, trzeźwej, w przeciągu 20 lat fundusz jakikolwiek na przyszłość zebrać—to mu się uda. Potrzebuje on tyle szczęścia, ile inni potrzebują go, iżby, od nieprzewidzianych wypadków salwowani, dalej żyć mogli. Jeżeli mąż rozumny i zdrowy w dojrzałym wieku sobie powie: ja chcę długo żyć, to będzie żyć i bez szczęśliwych wydarzeń, jeśli tylko wszystkiego, co zdrowiu szkodzi, unikać, a co mu zdrowia przysparza, szukać będzie. Oczywiście, wydarzenia nadzwyczajne nie wchodzą w rachubę.

Kardynalne zdania makrobiotyki brzmią tak: Wszystkiego co zdrowiu szkodzi, ukróć życie, należy unikać; wszystkiego, co dla zdrowia korzystne, co je przedłuża, poszukiwać. Nauka ta nie bardzo ugania się za młodymi adeptami i zdaje się jakby dotyczyła wyłącznie tylko ludzi starszych, w życiu już doświadczonych. Który okres życia przyjemniejszy jest? — w tym punkcie niema zgodności. Każdy broni wieku, którego dożył względnie do przeżytych wrażeń i wypadków; w tem jednak wszyscy się zgadzają, iż największą rozkoszą jest na starość młodym pozostać, skoro się zachowa siła i władza umysłu, jak za dni młodości. Nikt nie będzie Tithonowi zazdrościć, dla którego kochanka, bogini Eos u Jowisza o wieczne życie prosiła. Życzeniem jej stało się zadość — ponieważ jednak zapomniała równocześnie o wieczną młodość poprosić, nieszczęśliwy mąż starzał się coraz bardziej, zdzieciniał, iż go musiano jak niemowlę kołysać i do snu układać, nakoniec utracił wszystkie władze i sam głos mu tylko pozostał.

Nietylko zatem starców nauczyć, aby starszymi byli, lecz i młodzieńców w sztuce długowieczności ćwiczyć, aby dłużej młodość swą zachowali, będzie przedmiotem makrobiotyki. Aby być starym, potrzeba się starać jaknajdłużej młodym pozostać. Stateczność na młodości exekwować—rzecz to nie łatwa; jedynie może skutecznym czynnikiem jest systemat wychowania, i to od pierwszej chwili życia. Dzieci należy tak wychowywać, aby rozsądne prawidła dyetetyczne stały się dla nich drugą naturą. Tym obowiązkiem zadość uczynić mogą tylko matki, których pieczy istoty ludzkie przed urodzeniem i w pierwszych latach po niem, są powierzone. Ofiarom, jakimi się matka dobrowolnie obarcza, aby dziecię karmić, pielęgnować i wychować, przeciwstawić należy życzenie, aby dziecię to rozsądna matka hartowała i według reguł fizyologicznej higieny, wolnej od przesądów i średniowiecznej mądrości mamek, wychowywała. Zaniedbanie prawideł przez matkę mści się najokropniej na dzieciach. Dziecię przedewszystkiem strzedz należy; oile nie śpi, zostaje ono pod opieką starszych aż do piątego roku życia; samo na jedną chwilę pozostawionem być nie powinno. Odpowiednio do pojęć, należy je nieustannie czemś zajmować, uwagę jego zwracać w jeden punkt zgodny, aby nie miało czasu na przyswojenie sobie pojęcia złego. Siła nawyknienia donioślejsze ma skutki i wyżej sięga, niżli siła rozumu. Pedagogiczne to zdanie znajduje w praktyce zbyt ogólnikowe zastosowanie. Pieszczoty zgubne i miłość fałszywie od rodziców odczuta, ulegająca kaprysom dziecka, również rygor absolutny w przymuszaniu dzieci do tego, co im wstręt, bądź niechęć sprawia, są w pedagogice jednakowo niewłaściwymi. Częstokroć dwuletniemu dziecku podaje matka dla wygody bułkę rozmiękczoną mlekiem, która niezłuta, bez domieszki cieczy ustnej do żołądka wchodzi; i ani matce przez myśl nie przejdzie, iż tego rodzaju karmienie dziecka, mającego zębki, zgubnie wpływa na rozrost przełyku pokarmowego i proces trawienia. Ciało u dziecka w ogóle, ręce i nogi w szczególności, nie powinny być chłodne: ciągle chłód utrudnia wytwarzanie się tkanek. Prawidłowość wzrastania dziecka wymaga, aby go nigdy ze snu nie budzono; pobyt na wolnym powietrzu jaknajdłuższy, przyzwyczajenie do pogody i słoty, zimna i ciepła, koniecznym jest. Zabójczo działa zmuszanie dziecka do pracy, jeżeli praca sama nie przywiązuje go do siebie. Ztąd się wyradza niechęć do nauki i opór w tem,

coby dziecku rzeczywistą przynieść mogło użyteczność. Lamartine o sposobie swego wychowania tak mówi:—„Moje wychowanie spoczywało w całości w mniej lub więcej przyjaznych oczach i mniej lub więcej wyraźnym uśmiechu mej matki. Porywy mego serca tkwiły w jej sercu. Ona żądała tylko, abym był prawdomównym i dobrym, i to nie było mi trudnem. Mój ojciec używał mi wzoru prawdy nawet w drobnostkach, moja matka—dobroci, aż do heroizmu. Dusza moja, która tylko dobrocią oddychała, nie mogła nic innego wydać. Nie staczałem walki, ani z sobą, ani z drugimi. Wszystko mię do siebie przykuwało, nie mię nie gniewało. Drobnostkę, którą mię uczono, wydzielano mi jako nagrodę. Nauczycielem był mi ojciec, była matka; moja: widziałem, że czytają i pragnąłem czytać; widziałem, że piszą, i prosiłem, aby mi przy kreszeniu liter dopomagali. Wszystko odbywało się w formie zabawy, w niepowrotnej chwili, na kolanach, w ogrodzie, przy kominku w salonie, śmiejąc się pieszczotliwie. To mi się podobało, ja sam spowodowałem te krótkie, zabawne lekcje. Tak się wszystkiego nauczyłem, nie myśląc, jak się uczyć; nigdy czoło nieczyje nie zmarszczyło się, aby mię do nauki skłaniać. Ja szedłem dalej, nie miarkując nawet postępu.“

Jedno spojrzenie znawcy nauczy dziecko więcej, niż najobszerniejsze opowiadania o słabościach nieuka. Na ojcu ciąży obowiązek: konsekwencyą i rygiorem miarkować pobłażliwość i czułość matki, za zobopólnem porozumieniem się i zgodą obojga. Nie tak dziecka nie psuje, jak dysharmonia rodziców w zalecaniu prawideł, zwłaszcza, gdy się to w obecności pupilka odbywa. Ojciec powinien znać intelligencyą dziecka, na każde „dlaczego“ stosowną dać odpowiedź, każdego zjawiska przyczynowość wyjaśnić i nigdy niezgo nie wzbraniać bez wytłómaczenia powodu, starać się wreszcie siłę samodzielności podniecać i nie dopuszczać do tego, aby dziecko nieporadność ojca swego poczuło.

Rozsądne nauki i staranne wychowanie, łączące miłość z rygiorem, nie starczą wszakże na przedłużenie młodości. Musi być widoczna korzyść istotna z tego rodzaju życia wypływająca; dziecko musi ją uczyć, pojąć i rozumieć. Przykład idzie z góry; rodzice i wychowawcy powinni być wzorem dla swoich dzieci i wychowanców, i ze względu na nader wielką zdolność naśladownictwa, dzieciom nigdy przykładu niegodnego nie dawać. Dusza dziecka, jak najczulszy instrument, oddaje tony wrażenia, którego doznaje i czyny, które naśladuje—jak echo oddaje głos lub zwierciadło barwę. Przykład, mający dziecko nauczyć lub zachęcić, spełniony w jego obecności, może się stać z czasem w miarę wynikliwego założenia, tak dla rodziców, jak dla dzieci, drugą naturą. Prawidła, zalecane przez rodziców, winny być zawsze i wszędzie ściśle co do formy i treści, osobistym wsparciem przykładem, w przeciwnym razie tracą na skutku, gdyż dziecko każdorazowego zaniedbania, jako wolnej chwili, użyje do spełnienia czegoś wręcz przeciwnego. Ta systematyka i stateczność w exekwowaniu u dzieci tego, co jest dobrem, szlachetnym i sprawiedliwym, jako rozsądna, wolna od pedanteryi i konnałów dyetetyka, miarkuje w przyszłości ogień młodzieńczej fantazy i serca, aby się wolniej palił i tak rychło istoty nie spopielił, czyli innemi słowy: dyetetyka naucza tego, aby młodzian, dłużej swą młodość zachowując, mógł późniejszej dożyć starości.

Kamień mądrości, tajemnica odmładzania się ustawicznego, spoczywa w wychowaniu. Twierdzenie, jakoby przy wyjątkowych tylko skłonnościach, nie każdemu z nas właściwych, osiągnąć to było można, jest nie uzasadnionem. Każdy z nas rodzi się z niepomierną liczbą skłonności. Jedne z nich ukrócają życie, drugie je przedłużają; rzeczą wychowania jest należyte ich zużytkowanie. Również nierozwagą jest przekonanie, iż w jednych familiach długoletność, w drugich wczesniejsza śmiertelność jest dziedziczną. Dziedzicznymi są tylko właśnie skłonności, które rodzą choroby bądź wady, również zdrowie i cnoty. Jeżeli wszystkie żywioły organizmu prawidłowe są i zdrowe tak, iż w kilku pokoleniach potomstwo wolnem jest od dziedzicznego błędu, wtedy powstają warunki sprzyjające długiemu życiu, lecz



bez rozsądnej dyetetyki, nie mają one wartości. Słabowity i chory, przy statecznym zachowaniu uznanych w dyetetyce reguł przeżyć może i zdrowego, który wskutek nierozważnego życia dobrowolnie zdrowie niszczy; nikt jednak twierdzić nie będzie, aby rozsądne zachowanie się higieniczne dziedzicznie być mogło. Ani wczesna śmierć, ani dłuższe życie nie jest dziedzicznym; owszem, zarówno przedłużenie godziny śmierci ponad skalę przeciętną, jak i przyspieszenie jej podlega woli ludzkiej.

Obok wrodzonych słabości i chorób w ogóle są jeszcze inne okoliczności, wpływające ujemnie na stan zdrowia: wpływ klimatu i zawodu naszego na zdrowie. Niejednostajny klimat, acz nie wszystkim służy, to jednak we wszystkich częściach świata żyją stuletni ludzie. Ważniejszym bez wątpienia jest wpływ zawodu. Młoda jeszcze umiejętności statystyki nie ustanowiła dla wszystkich zawodów skali przeciętnej długości, lecz pewnikiem jest, iż w niektórych ludzie późnej starości nie znajdują. Lekarze rzadko się starzeją. Hipokraty który żył 104 lat, nawet i Bouilland, 85 lat żyjący, należą do wyjątków. Kto życie trawi na to, aby je drugim przedłużyć, ten skraca sobie często krótko długoletność. Urzędnicy kolejowi żyją rzadko do 80 lat, zwłaszcza osoby pełniące służbę przy lokomotywach. Czynności przy kopalniach, hutach, odlewniach, fabrykach tytoniu—skracają życie. Natomiast ci, co się pracą umysłową zajmują, bądź ucząc, bądź pisząc, żyją najdłużej jak: księża, filozofowie, badacze, pod warunkiem, jeżeli z młodych lat siły zachowali.

Zdaje się, iż niejedni wcześniej tę piękną ziemię żegnają, aby pozostali na niej dłużej się nią cieszyć mogli. Śmiercią pojedynczych indywidualów, żyje i utrzymuje się ogół. Ci, co biorą miarę o długoletności z warunków zawodu, w którym żyją i z przeświadczeniem w konieczność śmierci wcześniejszej wierzą — źle czynią. Byli ludzie krótko żyjący, a jednak nieśmiertelnymi się stali. Alexander Wielki, Rafael Sanzio, Słowacki, Byron, Schubert, Szopen pomarli w wieku od 30—40 lat. Jeżeli życiem naszym krótkim wytwarzamy nieśmiertelną wielkość—mniejsza o lata.

Miłość do życia jest w każdym zawodzie. Od zarania młodości, skoro słońce rozsądki zabłyśnie aż do ostatniego tchnienia, kiedy nas noc śmierci czarnymi skrzydłami osłania — pragniemy żyć. U dzieci i starców najczęściej napotykamy instynkt zachowawczy; mały nader procent samobójstw w tym wieku, jak również niechęć w pojednaniu się z tą myślą śmierci na łożu konania i owa skrupulatność za życia w exekwowaniu wszystkiego coby zdrowiu naszemu istotną korzyść przyniosło — jest dowodem tej miłości do życia. Co więcej, miłość ta nie gaśnie nawet i u ludzi, którzy prócz ciemnoty, głuchoty, niepamięci i zobojętnienia, społeczeństwu nic dać nie mogli. U starców, którzy wdzięk młodości zachowując, w dziewięćdziesiątym roku jeszcze jeden krzyżyk życia osiągnąć pragną, musi ta miłość bezwątpienia być jeszcze gorętszą. Aby krzepkość ciała i świeżość umysłu do późnej zachować starości, należy stopniowo z laty wzrastającą niewiarę i zobojętnienie dla świata i jego otoczenia wytępić. Ta wkradająca się trucizna indifferentyzmu, owa nękająca część dla wielkości idei i etycznej człowieka wartości, owo zwątpienie o własnych siłach i o produktywności pracy, ścierają z czoła młodzieńczego aureolę przyszłych ideałów życia i zabijają ciało. I nie dla takich śmiertelników długoletność życia.

Czas szybkim biegiem upływa,  
Wraz wszystko z sobą porywa.  
I lubej młodości chwile  
Nie oprą się jego sile.

Czem ruchliwsze, czynniejsze życie nasze, czem trwalsze wspomnienia przeżytych wrażeń, tem szybszem kołem upływa i czas w niepowrotnych falach wieczności.

W dziecięcym wieku nie mamy nawet pojęcia o czasie. Dziecko dwu lub trzyletnie nie jest w możności rozróżnić dziś od jutra. Skoro myśl i zastanowienie obudzą się w nas, rozpoczynamy w ścisłym tego słowa znaczeniu życie i wtedy żyjemy w teraźniejszości, następuje okres działania

a pracy dla przyszłości. Każdy inteligentny człowiek w dzieciństwie pieści w swej duszy niepołączoną ilość ideałów, planów, nadziei; w głowie jego zachcianek i pragnień pełno, jak ptaszka w gnieździe. Na energii działania młodzianowi zbywa; nie ma on sił i środków nie zna, wytrwałość, cierpliwość i reflexya są mu obce. W dojrzałym wieku wszystkie siły wspomniane budzą się wraz, stają do popisu: niestety, brak tylko ideałów z dni marzącej młodości. Jeżeli więc w młode lata twórca, śmiało naprzód idąca działalność duchowa przeważa, rozwaga zaś ustępuje i później dopiero do panowania przychodzi, kiedy produktywność maleje: obowiązkiem jest więc każdego z nas, aby w łączności, w świadomej kontynuacji ze swoją indywidualną młodością, dalszy tok życia utrzymywał. Nie braknie nikomu czasu na to, żeby niekiedy nad samym sobą się zastanowić. Zazwyczaj mąż zapomina myśli młodzieńczych, które go entuzjazmowały, kiedy ławy szkolne opuścił; jeżeli zaś pamięta, nazywa te myśli żartobliwie marzeniami młodzieńczymi — lekceważy je. Krzywda to wyrządzana ludzkości. Spotykamy w dziejach serca i rozumu ludzkiego myśli młodych adeptów życia donioślejszej jakości, niż u nieobrotnych, doświadczonych do długich reflexyj i kombinacyj nawykłych starców. Każdy nowy rok rodzi się na tle poprzednich minionych lat, jest z nimi w związku, i kto ideały swej niepokojnej twórczej młodości przechować umie na czas spokojnej, rozważnej dojrzałości — ten zastrzegł sobie długoletność. Najżywotniejszym przykładem dla nas jest wielki angielski badacz Karol Darwin. Co w 28 roku życia spisał, to w 50 roku dopiero światu ogłosił, a dzieło najnowsze 72 letniego starca jest owocem jego przed 44 laty dokonywanych badań.

Kto zatem swej indywidualności wiernym pozostaje, żyje młodo; a kto długo młodość zachował, ten ma najpewniejsze widoki na długoletność.

## RUCH MUZYCZNY.

Postanowiłem dziś zastanowić się raz jeszcze nad tak żywo obchodzącą nas kwestyą: czy jesteśmy muzykalnymi? Jakkolwiek o tem już dość mówiono i pisano, sądzę, że do kwestyi powracać peryodycznie nawet nie zawadzi. Przeciętny czytelnik „Bluszcza“ i innych pism tyle czyta o muzyce, tyle jej prawdopodobnie słyszy w swem życiu, że słusznie jest zbadać: czy te litery i dźwięki muzykalne zlobią w jego duszy jakie trwałe ślady, czy też jeszcze przesuwają się po jej powierzchni bez widocznego wpływu? Niestety, przeciętny czytelnik czuje zapewne i sam, że zapytanie nasze, niedyskretnie sięgające do głębin jego duszy, budzi w nim coś nakształt niewyraźnego wyrzutu sumienia. Przedewszystkiem ów przeciętny czytelnik lub słuchacz, nieraz uderzywszy się w piersi, przyznać musi, że nie rozumie muzyki, którą słyszy, następnie przeciętny czytelnik nie zaprzeczy, że pozwala upadać Towarzystwu Muzycznemu, że niedość interesuje się „Echem Muzycznym“, że ziewa na symfoniach, że nie lubi kwartetów, że wrażenia muzykalne w ogóle raczej go bawią niż poważnie uszlachetniają; napróżno dzieła głębsze pukają do serca jego, napróżno przemawiają wzniosłą mową — ona go raczej nudzi niż... budzi. Co więcej, ów przeciętny czytelnik, o którym tak surowy sąd wydajemy, bardzo się dużo zajmuje muzyką, nietylko powtarza z chlubą imiona Szopena i Moniuszki, ale wie o Żeleńskim, Noskowskim, słucha nawet ich dzieł i przyznaje, że muszą być dobre, bo ich tak, jak dzieł poważnych, niemieckich mistrzów, nie rozumie. Ów czytelnik przeciętny oprócz tego bardzo dużo gra na fortepianie, przez pewien czas studjuje sumiennie wszystkie gammy, i zawzięcie gra na 4 ręce... układy z oper lub walce. Ale tworzyć stowarzyszenia chóralne, kółka kwartettowe, należy u nas do rzadkości, a nawet nie praktykuje się wcale. Dlatego też, pisząc ten

wstęp *niezwyčajny* do *zwykłej* kroniki muzykalnej, chcieliśmy primo: zaznaczyć fakt niezaprzeczony niezbyt wpływowego dotąd działania muzyki w naszym społeczeństwie; 2-o zwrócić uwagę na potrzebę poprawy tego stanu i tym sposobem zdołania niejako nowego czynnika cywilizacyjnego.

Jakim sposobem wpływ muzyki na nasze społeczeństwo uszlachetnić i uczynić bardziej pożytecznym? Odpowiedź na to: mniej zajmować się muzyką... *przeciętnie*. Dodajmy dla objaśnienia tego mniemanego paradoxu: *mniej, ale lepiej*. Jaką społeczeństwo może odnieść korzyść, że tysiące panienek między 10 a 15 rokiem życia zatrują sobie i sąsiadom życie gammami, na to tylko, aby, doszedłszy do wykonania mniej więcej czysto polki do tańca, lub Nokturna Leybacha, zaraz po wyjściu zamaż, a niekiedy i przedtem, fortepian zupełnie zarzucić i nigdy więcej do niego nie zajrzeć? Gdyby ten kapitał czasu, tak nieprodukcyjnie zmarnowany, obrócić na cel inny, bądź na ukształcenie własne, bądź nawet na uczenie sióstr i braci, ileżby pożytku odnieść mógł dom i społeczeństwo! — a dopiero gdzieby się okazała prawdziwa zdolność, prawdziwe poczucie dla sztuki, tam wartoby z prawdziwą gorliwością szlachetny ten kwiatek uprawiać, aby wyrósł pięknie i wonią swą czarował wszystkich... Wtedy i ten talent prawdziwy rozwinąłby skrzydła z większym zaufaniem w swe siły, z większą świadomością swej artystycznej godności. Tymczasem dziś, na tle ogólnej miernoty, i przeciętnych nader umiarkowanych wymagań nie tworzy się zbyt dogodna dla rozwoju talentów atmosfera...

Ze w tych uwagach niema zawiele pesymizmu, świadczy ogólny ruch muzykalny w naszej stolicy naprzykład, świadczy ów gust fałszywy i dyletancki, którym grzeszy nieraz publiczność w Towarzystwie Muzycznym, wywołując z hałasem najmierniejsze talenta za odegranie lub odśpiewanie affektowanego romansu, a zostawiając bez oklasku prawie dzieła poważne. Rzeczą jest niemal niezawodną, że każde społeczeństwo ma takie instytucje, na jakie zasługuje, i że w nich się ono najlepiej odzwierciedla. Dlatego też dość jest charakterystycznym, że gdy zagranicą, i nawet w Galicyi, Towarzystwa Muzyczne istnieją dla muzyki samej i przez tę niezależność kształcą smak ogółu, u nas Towarzystwo jest klubem utworzonym dla wygody i przyjemności członków, z których ograniczonym dyletantyzmem każdy dyrektor niezbędnie liczyć się musi, jeżeli nie chce doprowadzić instytucyi nad brzegi finansowej przepaści. Warszawa się chwali, że jest miastem muzykalnym: tymczasem niedawno jeszcze, jako projekt zbawczy dla Tow. Muzycznego, proponowano tańczące wieczorki, zaś programmata naszych wieczorków, mimo syzyfowej pracy niektórych kierowników, czyż mogą iść w porównanie z programmatami koncertów lwowskich? Ale zato we Lwowie i Krakowie publiczność nie wymaga od dyrektora więcej niż jednego wieczoru namiesiąc, podczas gdy u nas i cztery wydaje się zamało... U nas ilość — tam zato popłaca jakość; u nas słuchają głównie solistów, a przychodzą głównie dla rozmowy, — przeciwnie tam programmata są poważne i nastrój słuchaczy odmienny od naszego.

Praca urzędzenia czterech wieczorów na miesiąc jest dla myślącego i czującego artysty podwójnie ciężką; stawia go bowiem w matematycznej niemożności zadowolenia swego wysoce estetycznego poczucia i we własnych jego oczach czyni go niejako nieodpowiedzialnym za mniej dobre częstokroć programmata. Mimo najszczerzej chęci, niepodobna cztery razy na miesiąc wynajdywać znakomitości, nawiasem jeszcze mówiąc, za nader skromną cenę... Naturalnie, że na pierwszych paru wieczorach materiał się znalazł, na pierwszym bowiem grał Michałowski, na drugim panna Friedenthalówna. Oni też oboje główną, w tak wysoce artystycznym stopniu jedyną byli obu tych wieczorów okrasą. P. Michałowski grał tak świetnie i porywająco, że zrobił na nas wrażenie, jakiego sam dotąd nie wywarł był jeszcze; znać, że odpoczynek wakacyjny, a raczej spokojniejsza praca w wiejskiem zaciszu, dozwoliła mu spotęgować jeszcze bogate swe środki wykonawcze. W walcu z „Fausta“ Liszta po-



dziwialiśmy siłę, wytrwałość, zapal i szaloną odwagę, z jaką artysta pokonywał trudności. Spół to był grania zupełnie szeroki, lisztowski, może zamala rozdrobiony na pojedyncze cieniowania, ale ogrzany ogólnem jakimś przejmującym ciepłem. Oprócz innych numerów solowych, pan M. świetnie prowadził partię fortepianową w trudnym i pięknym kwintecie Kiela. Panna Friedenthal, której grę dzienniki niemieckie ogólnym chórem stawiają w rzędzie najpierwszych, usprawiedliwia te pochwały tak swą niezmiernie wyrobioną techniką, jak wysoce artystyczną indywidualnością. Można by powiedzieć, że oboje z p. Michałowskim stanowią ideał fortepianisty: czego Michałowskiemu nie dostaje w Adagiach, i w ogóle w cieniowaniu szczegółów, to dopełnia panna Fr. poetycznym dotknięciem i grą; porywając zaś werwę on znów w wyższym stopniu posiada. Partię wokalną na drugim wieczorze wypełnił pan Cieslewski, o którego znanym talencie nic nowego powiedzieć nie możemy; na pierwszym zaś panna Borzymowska, była uczennica Konserwatorium, której głos dość ładny okazuje lekkość i zdolność do koloratury. Z wykonanych przez pannę B. passażów najwięcej nam się podobał tryl w Bolerze Dessauera: „Ouvrez!“ Gammy w Waryacjach Rodego były niezłe, ale brak było piano — w ogóle styl śpiewu panny B. był za szorstki, a nóty wysokie nawet w emisji zbyt ostre.

Piękne bardzo koloratury posiada nowa śpiewaczka włoska panna Varesi. Śpiewaczka to wysoce inteligentna i sympatyczna, wybornie umiejąca używać daru Bożego — głosu. Cała jej wykonawcza artystyczna opiera się na efektach subtelnych i poetycznych. Prześliczne mezza-voce, umiejętne kontrasty, sumiennosc, dobry smak, tworzą nadzwyczaj wdzięczną i ujmującą całość. Poprzedniczka jej, panna Leslino, odznaczała się większą siłą głosu, zdatego istotnie do ról wysoce dramatycznych, ale też i pewną trywialnością w stylu, a nawet i w grze, psującą nieraz dodatnie wrażenie. Prawdziwie wyrobionym i artystycznie ceniującym śpiewakiem jest znów barytonista pan Verger; każdy jego występ, to wór pięknych studyów, szlachetnego i umiejętnego traktowania śpiewu. Głos śliczny, miękki, dość silny i nadzwyczaj wyrobiony pod względem koloratury, dozwala artyście nieraz na zupełnie nowe i pełne wdzięku dodatki. Tenor, pan Marini, ma przedewszystkiem głos, nietyle rzadkiej piękności, ile woluminu, pełności i siły. Tenor to jakich mało — wyrzuca c piersiowe, ile razy mu się podoba, cieniuje umiejętnie; brak mu, co prawda, głębszej poezji, oraz ściśle niemieckiej punktualności przy wpadaniu w takt. Czasami także śpiewa zanizko. W każdym razie, słuchając kompletu złożonego przy pomocy tych artystów, można używać dawno u nas nieslyszanej przyjemności, sextetów, a nawet całych oper, wykonanych przez ogół śpiewaków posiadających głosy. Śliczny także głos basowy i wysoką umiejętność śpiewu posiada basista p. Seidemann, Warszawianin, śpiewający z Włochami powłosku, z nami popolsku. Czasami zawodzi pana S. intonacja, lecz widocznie są to wieczerzy, w których jest trochę zmęczony, i nie dziwnego, bo śpiewa u nas, i to nieraz w jednym tygodniu, takie dwie partie jak Marcela i Bertrama. W obu tych rolach, jak i w „Fauście“, okazał pan S. wiele zalet: umiał, nietylko zająć, ale i nieraz przejąć słuchaczy.

Wiadomo już zapewne naszym czytelnikom, że prezes Dyrekcji Teatrów pan Wsiewołodzkij, opuścił swe stanowisko i przeniósł się na mieszkanie do Petersburga. Jakie nowe kombinacje artystyczne i administracyjne wywoła ten wypadek — przewidzieć trudno; w administracji b. prezesa dużo było ruchu, projektów, dobrych myśli; mało jednak systematyczności, i wskutek to zapewne tego rozstrzelania, sytuacja finansowo nawet,

nie jest dobrą — energicznej i umiejętnej potrzeba ręki, aby tak skomplikowaną administracją z pożytkiem dla ogółu dalej rozwijać. I znów wobec spodziewanych zmian, podnosimy głos w sprawie polskiej opery, którą należałoby specjalną otoczyć opieką. Aby jej znaczenie artystycznie podnieść, należy tylko kadry wypełnić, dobrze płacić, a wówczas moglibyśmy i własnymi siłami dużo dobrego wykonać. Dowiodły tego nawet przedstawienia oper „Carmen“ i „Piccolino“, a cofnąwszy się o lat parę, możemy sobie przypomnieć wcale dobrze wykonanego „Lohengrina“. I dziś komplet dobry jest prawie możliwym, zwłaszcza gdyby zatrzymano takiego basistę, jakim jest p. Seidemann.

Jan Kleczyński.

## ŻYCIE W CHINACH I JAPONII.

przez

A. Dubard'a.

(Dalszy ciąg).

Nie zaniebano oddać wizyt powitalnych okrętom innych narodowości<sup>1)</sup>, wkrótce też nadesłano całą masę kart z zaproszeniami na obiady, od amerykańskich i ruskich sztabów. Nawet Niemcy z charakteryzującym ich taktem spiesznie nadbiegli — lecz tego dnia właśnie nikogo na okręcie nie było, a officer służbowy zajęty pełnieniem obowiązku, nie mógł przyjąć gości, którzy się tak nie w porę wybrali.

### VI.

Proszony obiad na pokładzie *Skrzydlatego* — Kłopoty szafarza — Amerykanie ze statku *Moroë*. — Miss Tillia.

Pierwszego pięknego poranku, na pokładzie *Skrzydlatego*, kucharz sztabowy z kucharzem kadetów — przebiegłym szpakim — składali ważną naradę, wspomagając się wzajem światłą swą wiedzą i przesadzając jeden nad drugiego w wymyślaniu dań smacznych i wytwornych.

Szafarz, od dwudziestu czterech godzin przegłądał skrzynie z zapasami, wydobywając z ich głębokości omszałe butelki i flakony, napełnione złościstym płynem.

Co się stało? Dlaczego cały ten ruch gastronomiczny? Oto, mieliśmy podejmować godnie, do ich zasługi officerów z fregaty amerykańskiej *Monroë*, a szło tu nietylko o wywzajemnienie się uczcą za ucztę, ale miał to być odwet: Chambertin i Chateau-Laffitte, za szampana San-Francisco i Sherry.

Dzięki łagodności klimatu japońskiego, chociaż to był Październik, nakryto stół na pokładzie. Żagle w kształcie draperyj tworzyły ściany i sufit salonu jadalnego, na końcach stołu świeczniki, zastąpiły misternie związane pęki pistoletów w artystycznym otoczeniu bagnetów i szabli. Różnobarwne japońskie lampy, podwójnym szeregiem obejmowały salon w około.

Siódma godzina, zmrok zapadł zupełny. I podczas, gdy Harles, naczelnik wydziału gospodarczego, wspomagany tym razem, ze względu na tak

ważną chwilę, przez Kerpenika, po raz ostatni rzucił okiem mistrza na tę powabną całość; lódź z zaproszonymi gośćmi odbijała od fregaty *Monroë*.

Odezwała się dźwiękiem przeciągłym i przenikliwym świstawka *bothmana*, nad krawędzią pokładu ukazała się jedna czapka, obwiedziona złotym galonem, następnie druga, trzecia, szosta i dziesiąta; liczone na dwudziestu zaproszonych, tymczasem przybyło dwudziestu pięciu, ale szafarz wraz z kredencierzem muszą sobie dać radę.

Wejście do sali jadalnej stanowiło prawdziwą owację dla Harlesa, najpochlebniejsze szepty rozkosznie pieściły jego ucho, jako naczelnika wydziału administracyjnego. Po krótkiej chwili zamieszania, towarzyszącej zwykle powitanom, każdy zabrał miejsce przy stole. Każdy rozkłada serwetę, przysuwa lub odsuwa krzesło; lecz nikt nie mówi ani słowa. Tak się zaczynają wszystkie obiady. Zupa i paszteciki bywają spożyte z ciekawem skupieniem, przerywanem tylko odgłosem poruszanych szcęk, brzękiem wideł, dźwięcznym tonem trąconego kielicha, lub kilku monosylabami szybko zamienionemi. Są to prawa potężnie przemawiającego głodu, a wino nie podnieciło jeszcze fantazyi i dobrego humoru.

Po pierwszej potrawie zawiązują się pomiędzy sąsiadami rozmowy spokojne, najczęściej oklepanej treści, prowadzone głosem nieco przytłumionym, z czego wytwarza się rodzaj gwaru, ponad który wzbija się niekiedy, niby ton fałszywy, jakiś wykrzyknik przedwcześnie rozweselonego biesiadnika. Kieliszek bordeaux wychylony po maderze, rozwiązuje usta, drugi potrafi poruszyć języki najtwardszego spustu; po trzecim stanowczo znika wszelki przymus i rozmowa jeszcze poważna staje się już ogólną. Porucznik Tompson z fregaty *Monroë*, siedzący obok Gastineta, opowiada mu wydarzenia z wojny o niepodległość, w której brał udział.

Master Davis poczuwa się do obowiązku ze względu na koleżeństwo naszych zajęć, mówić mi o administracji okrętowej, ja znów przez przyzwyczajenie, poczuwam się do obowiązku słuchania tego, co on mówi. Saint-Cyr tylko utonął cały w kontemplacji bukietu róż sztucznych i zapewne znajduje się w tej chwili przy boku swej kuzynki Anetki daleko, bardzo daleko od Yokohamy, błędząc w marzeniach wśród mgły unoszącej się ponad Sawoną i Rodanem.

Reszta biesiadników rozmawia nader układnie o rzeczach mniej lub więcej niedorzecznych.

Aż oto, przy drugim daniu, chambertin zastąpił bordeaux i wesołość wzmagą się coraz więcej, potężnie jak *crescendo* w muzyce Rossiniego. Następują toasta po toastach, Harles woła:

— Panowie, piję zdrowie wielkiego Lincolna.

— Zdrowie Lafayette'a! — wnosi w tej samej chwili porucznik Tompson; na cześć Francyi i Ameryki połączonej.

— Tak, odpowiada Gastinet, na cześć Francyi sprzymierzonej z Ameryką.

Na cześć tych dwóch wielkich narodowości, które pomimo różnicy plemienia, pomimo dzielącego je oceanu są siostrzycami w pojęciach, instynktach naturalnych i wolnomyślnych dążeniach.

— Wiwat Francya!

— Wiwat Ameryka!

(Dalszy ciąg nastąpi)

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 2-gi powieści pod tytułem: **Żelazo**.

**TREŚĆ.** Pogawędka. — Teorya i praktyka w zawodzie nauczycielskim, (dalszy ciąg), przez M. Ilnicką. — Królewiec i Grunwald, opowiadanie historyczne, (dalszy ciąg), przez Felixa S\*\*\* — Przegląd teatralny, przez S. K. — O przedłużeniu życia, (dokończenie). — Ruch muzyczny, przez Jana Kleczyńskiego. — Życie w Chinach i Japonii, (dalszy ciąg), przez Dubard'a.